

# CZYTELNIA „PIELGRZYMA“

Bezpłatny Dodatek dla Abonentów „Pielgrzyma“.

## O BYT I O CNOTĘ.

Powieść z niedawnych czasów na Pomorzu napisał N. N.

I.

### Głód i nędza od kolebki.

Mamo! czy już tatce lepiej? — pytała mała dziewczynka, kilkakrotnie wbiegając do ciemnej izdebki, w której na łożu boleści leżał wybladły i wynędzniały mężczyzna.

— Nie, moje dziecko — już po trzeci raz odrzekła z cicha jej matka, a dziewczę zasmucone odeszło.

Ojciec tymczasem, niezbadaną jakąś chorobą wycieńczony na siłach, jakby nie żywy, leżał wznak na pościeli. Oczy jego w głowę zapadły, ciagle prawie były zamknięte, powieki podsiniałe, a włosy i zarost jak heban czarne, otaczając wysokie czoło i wynędzniałe oblicze, jeszcze bardziej podnosiły śmiertelną bladłość twarzy.

Czasem tylko głuchy jęk wydobywał się z piersi chorego, ciężko oddychającej, a lekki rumieniec zarbarwiał mu policzki pod oczami.

Był to niedawno najpiękniejszy mężczyzna wioski. Wspaniała postać jego, spreżysty chód, a mianowicie aksamitna kurtka i płowe szarawary żołnierskiego kroju, w jakie się lubił czasami ubierać, wszystko to nastrecało domysł, że niegdyś był wojskowym, a może nawet wyższej rangi oficerem.

Wszelako nikt o jego przeszłości nie wiedział, chyba żona,

która tajemnice te wzięła ze sobą do grobu.

Nazywał on się Gajewski; lecz właściciel tejże wioski, który bliżej z nim przestawał, nazywał go zawsze tylko po imieniu Michałem, lud zaś nie inaczej, tylko kapitanem.

Przed kilkunastu laty w czasie wojen Napoleońskich przyprowadził się był pan Michał, niewiedzieć z jakiej dzielnicy ziemi polskich do ówczesnych Prus Zachodnich i nabył małą tamże posiadłość, a wkrótce potem poślubił za małżonkę córkę burmistrza pobliskiego miasteczka Magdalene, z którą miał czworo dzieci.

Najmłodsze z nich było dziewczę w piątym roku, imieniem Anna, która to właśnie znowu wbiegła do sypialni, pytać się o tatki zdrowie.

— Mamo kochana — wołała znowu płaczliwie — czy jeszcze tatce nie lepiej?

— Cicho dziecko! — odrzekła Jrzącym głosem matka — bo tatke obudzisz.

Wtem czy z bólu, czy z żalości, słysząc troskliwe pytania ulubionej córeczki, znowu chorey wydał jęk boleści i otworzył oczy, lecz zaraz mu same zapadły powieki.

Widząc to dziecko, jakby samo uczuwało boleść ojca, płaczliwym głosem rzekło:





— Kiedy tak, to już wcale się modlić nie będzie. Andzia prosi Bożi i prosi, a tatka co jęczy, to jęczy.

— Nie mów tak Andziu — rzekła zatrwożona matka — Bożię zawsze trzeba kochać, chwalić i prosić tak jak Ojca, czy nam co dobrego daje, czy nas karze, bo nie tylko dary Boga są dobre, ale i choroby i cierpienia, jakie na nas zsyła, prowadzą nas do nieba.

— A to tatka do nieba pójdzie? — zapytała znowu dziecko — to zmówię za niego paciorek.

— Idź moje dziecko — rzekła ze łzami matka; a chory, jakby z letargu przebudzony, otworzył oczy i pewnym już głosem zawołał:

— Ksiedza!

Napróżno dotąd namawiała go żona, żeby się usprawiedliwił. Zawsze ją tem zbywał, że jeszcze nie myśli umierać, a w istocie dla tego, że od dawna był obojętnym dla praktyk religijnych. Nie był on wprawdzie niedowiarkiem, bo rad słuchał, gdy mu żona mówiła o Bogu, i chodził z nią do kościoła, a nawet wygrywał na trabce wojennej nabożne pieśni i godzinki do Matki Najświętszej, ale do spowiedzi z trudnością go było dostać, chyba raz do roku na Wielkanoc.

Ubolewała nad tem Magdalena, przedstawiała, prosiła, nic to wszystko nie pomogło. Owszem zdawało jej się, że co rok od spowiedzi nawet z większą jeszcze niechęcią powraca, staje się zgryźliwy i ponury. Jedyną rozrywką jego w domu, najwięcej go rozweselająca, były dzieci, a mianowicie najmłodsza Andzia.

Póki jeszcze był zdrow, godzinami czasem piastował ją na kolanie, odpowiadając jej cierpliwie na wszystkie pytania, które mu ciągle zadawała i dziwując się roztrojnym jej spostrzeżeniom i uwagom.

To też gdy złożony chorobą, prawie bliski konania, usłyszał głos

swej Andzi, natychmiast przytomność odzyskał, a gdy dziecę wdzięcznym głosem obiecało się zań modlić o niebo, zdawało mu się, że sam Bóg przez usta lubej dzieciny doń przemawia. Poznał tedy, iż mu wnet przyjdzie świat ten opuścić i co na nim ma najmilszego. Przeto skruszonym sercem sam już prosił o ksiedza, aby się na drogę wieczności usprawiedliwić.

Nazajutrz pan Michał już nie żył. Niebawem też wszystko się zmieniło w domu młodej wdowy. Nie długo już bowiem kobieta od wszystkich opuszczona i strapiona strata ukochanego męża, mogła się na małym gospodarstwie utrzymać.

Gospodarstwo ich bowiem znacznie już było zadłużone, a przynajmniej dużo przyjaciół po śmierci męża znalazło się z pretensjami tak, iż na spłacenie ich trzeba było w końcu posiadłość sprzedać.

Byłaby się wtedy Magdalena udała do rodziców. Ci przecież o niej wiedzieć nic nie chcieli, odkąd przeciw ich woli wyszła była za nieboszczyka pana Michała.

Po kilku latach zatem biedna wdowa z czworgiem dzieciątka była zmuszona, u obcych ludzi szukać przytułku. Dwóch starszych chłopców wysłała tedy na służbę a sama musiała ciężko pracować, aby sobie i młodszych dwoje wyżywić.

Wtedy to małej Anusi przycho-po dzito nieraz o kawałku chleba rana do wieczora nad gaskami w polu przesiadywać. Przecież biedna dziecina nigdy nie traciła otuchy. Owszem jeszcze matkę pocieszała, kiedy ta z łaski dawniejszego sąsiada w starej podziurawionej mieszkając chałupce i patrząc na głód i niedzę swych dzieciątka, łzami się zalewała.

— Niech mateczka nie płacze — mówiła wtedy z poważną minką. — Wszak najdroższa mama nas uczy-

ła, że Pan Jezusek choć był Bogiem także mieszkał w stajence i nieraz głód i zimno cierpiał.

Widocznie też czasem przez to dzieci wspierał Bóg i pocieszał ubogą wdowę.

Bywało, że czasem nie mieli już czem strawy okrasić, za co chleba kupić, a dzieci płaczac i drząc od zimna, wołały jeść.

Razu pewnego posłała tedy strokana wdowa Anusie do gościńca za ostatni grosz po świeczkę łojową, aby nią okrasić zacierkę, której z reszty mąki na wieczerze nagotowała. Długo jakoś dziecko nie wracało. Już się matka zaczęła o nią lękać, ale iakąż była jej radość, gdy w tem Anusia zziajana weszła do chaty niosąc spore zawiniatko, w którym matka znalazła, nie tylko świec kilka, ale nadto parę funtów cukru, kawy i kilkadziesiąt sucharków.

— Skąd ty to masz, moje dziecko, — zapytała z zadziwieniem matka.

— Znalazłam na drodze mateczko — odpowiedziało z cicha dziecko, dźwiganiem jeszcze zmęczone.

Myśląc tylko o zaspokojeniu głodu swych dziątek, uradowana tak niespodzianym ratunkiem, wdowa już złożyła ręce, dziękując Opatrzności Boskiej, lecz zaraz jej się przypomniało, że przecież należało się najprzód zapytać o właściciela zgubionych rzeczy.

— A nie szedł tam kto, lub jechał droga, coby mógł to zawiniatko był zgubić? — zapytała skwapliwie Andzi.

— Nie mam, nikoguchno tam nie było na całej drodze.

— A gdzie to leżało?

— W samym środku, mateczko, tak iż się naprzód obaliłam przez to, aż zachrobotąło. Jakoż istotnie już było ciemno i choćby kto zdał jechał, nie można go było widzieć.

— Zaczekajcie tylko dzieci — rzekła po chwili namysłu wdowa — pójdę najprzód sama zapytać karczmarza, kto by od niego te towary był kupił: — i poszła. Lecz ku wielkiemu zadziwieniu swemu dowiedziała się, że towary te wcale nie były w tej karczmie zakupione. — Musiał je więc kto w mieście kupić i wracając zgubić. Iakież się o nim dowiedzieć? — pomyślała sobie — oczywiście Pan Bóg opatrzny zesłał mi to dla mych głodnych dzieci.

Tak rozważając wróciła do domu i odważyła się korzystać ze znalezionych rzeczy, aby swe dziatki po długim czasie znowu czem smacznem posilić.

Próżne też były wszystkie jej poszukiwania, jakie później w mieście za właścicielem czyniła tak, iż bardziej jeszcze umocniła się w przekonaniu, że sam Bóg ten przypadek nadarzył, aby ją w nędzy poratować.

Jeszcze dawniej innym razem cudowna opieka Opatrzności Boskiej nad nimi się ukazała. Gdy bowiem znowu dzieci wołały chleba, którego nie było ani w domu, ani za co kupić, zapłakana wdowa posłała Andzię do tegoż karczmarza, aby choć pożyczyl bochenek; obawiała się sama pójść, aby w razieby jej odmówił prośby, nie była zawstydzona, a widząc dziecko zgłodniałe, może się prędzej wzruszy — pomyślała. Zresztą zwykle w takich poselstwach lubiła roztropną i skrzetną Anusie posyłać, która się zawsze najlepiej z nich wywiązywała.

Jakoż tym razem nadspodziewanie dobrze jej się powiodło.

Wkrótce bowiem wróciło znowu zadyszane dziecko rozpromienione z radości, trzymając talara w ręku.

— Kto ci to dał? — zawołała uradowana a zarazem zdziwiona matka.

— Znalazłam, mateczko.

— Gdzie znowu?

— Gdy właśnie szłam przy cmentarzu, gdzie to taka duża woda stoi, zobaczyłam myszkę białą, goniałam za nią i zamiast myszki znalazłam w dziurze pomiędzy ceglami ten duży pieniądz.

— To bajki — wtracił półgłosem najstarszy brat Andzi, który właśnie przyszedł matkę odwiedzić — kto wie, skąd ona tego talara szcza-piła — dodał znacząco.

Matce też opowiadanie dziecka zdawało się bajeczne. Wszelako nie mając nigdy żadnego jeszcze przykładu na to, żeby Anusia kiedykolwiek kłamała, zdumiała się, nie wiedząc sama, co o tem zdarzeniu pomysłęc.

— Pójdź ze mną dziecko — rzekła po chwili naniysłu łagodnie i z dobrocią — pokażesz mi ową dziurkę, gdzie myszka uciekła.

Poszły. Ale jakież było dopiero jej zdziwienie, gdy w tejże szczelinie pomiędzy ceglami muru cmentarnego znalazła jeszcze zaplesniała tynfę, jakby na dewód, że dziecko prawdę mówiło. Ucałowawszy wtedy dziecko, uradowana jeszcze bardziej jego niewinnością, niż znalezieniem pieniędzy, wdziecznem sercem ku Bogu pouczała je o cudownej opiece Opatrzności Boskiej, wracając do domu.

Te i tym podobne zdarzenia jako też nauki i troskliwe wychowanie pobożnej matki sprawiły, że Andzia od najmłodszych lat, wzrastając niejako w szkole nędzy i niedostatku, nauczyła się zarazem we wszystkim zgadzać z wola Opatrzności Boskiej.

Jedynie też religijnemu wychowaniu bogobożnej i cnotliwej matki przypisać należało, iż uboga dziewczeczka, pomimo niedoli w jakiej wzrosła od kolebki, nie utraciła wrodzonej sobie wesołości. Owszem zawsze okazywała ona twarzyczkę,

jak róża rozkwitająca, wesoła i uśmiechnięta, tak iż obcy na nią patrzący, mniemali, że we wszelkiej dobrej opływa i zazdrościli szczęścia.

Posiadałać ona wprawdzie posag, dobro największe na tej ziemi, ale nie w pieniądzech lub włościach, lecz w czystym sumieniu i cnotcie. Stąd pochodziło, że w największych przeciwnościach losu, jakich wciąż doznawała i we wszelkich przykrościach, umiała spokojny umysł zachować, ufając niezachwianie w pomoc Opatrzności Boskiej, która jej też nigdy nie zawiodła w potrzebie.

Wszelako jak matka, tak też córka nigdy beczynninie nie opuszczała rąk, wyczekując od samego Boga pomocy, lecz przeciwnie od lat dziecięcych z prawdziwie meską dzielnością występowała w zapasy z nędzą, starając się nie tylko siebie z niej wydobyć, ale nadto starszemu od niej bratu Bolesiovi do lepszego kiedyś losu utorować drogę.

Zaledwie bowiem z lat dziecięcych wyszedłszy, udała się Andzia do zamożnego włościanina tamtejszej okolicy w służbę do pomocy gospodyni, aby zarobionym groszem wesprzeć biedną matkę i najmłodszemu z braci, który najwięcej okazywał zdolności dopomóc do odwiedzania niedawno założonego gimnazjum w Chełmnie.

Nie było zaś dawniej tak trudno się uczniowi utrzymywać podczas nauk gimnazjalnych jak teraz. Był tylko chłopiec znalazł gdzie mieszkanie, o resztę nie potrzebował się wielce kłopotać. Mieszek żyta lub grochu, worek kaszy, garnek okrasy, połać słoniny itp. oddane gospo-si, już wystarczały, aby chłopcu za to przez cały kwartał jakie takie dało wyżywienie. A jeżeli student, jak to wówczas nazywano uczniów gimnazjalnych, jakimś sposobem zdołał sobie coś zarobić, lub wolne stoły u zamożniejszych mieszczan

pozyskać, to już zupełnie wygodnie mógł się utrzymać na gimnazjum. Szkolnego bowiem albo bardzo mało, albo wcale nie płacił, jeżeli mu się udało wolne miejsce pozyskać, o co wtedy ubogim a pilnym uczniom nie było trudno.

Śmiało więc i ufna w Opatrzność Boską wyprawiła wdowa Gajewska Bolesia, łebskiego już wtedy chłopaka w drogę do miasta, aby tam sobie wyszukał gdzie mieszkanie i uzyskał przyjęcie do gimnazjum. Na drogę oprócz nowego przyodziewku, który mu sprawiła za zasługi Anusi i sporego mieszka z żywnością nic więcej nie mogła dać uboga wdowa chłopcu, gdyż za resztę krwawo zapracowanych i uciulanych groszy musiała najać człowieka, któryby niedodorostka przez piaski i bory zaprowadził do miasta. Nie było wtedy bowiem jeszcze kolei, jak dzisiaj, gdzie tanim kosztem i bezpiecznie dalekie można odbywać podróże. Miasto zaś było odległe na jakie dziesięć mil.

Jakoż istotnie udało się śmiałemu i grzecznemu chłopcu u dobrych ludzi znaleźć przytułek, a o przyjęcie do gimnazjum nie było trudno. Matka jak mogła starała się potem o jego utrzymanie wraz z Andzią, która już to u babki swej, w klasztorze, już to w pobliższym mieście u pewnych państwa praktycznie się kształciła i dorabiała grosza.

Po kilku latach złamana troskami, strudzona pracą, a niedzą i niedostatkami skolatana na zdrowiu, umarła wdowa Gajewska, a córka jej Andzia zupełnie już osierocona, zamieszkała w mieście Chełmnie przy bracie Bolesławie, który już wtedy był wyrósł na dorodnego młodzieńca.

Szyciem i praniem cienkiej bielejny zarabiała tam Andzia tyle, że nie tylko siebie, ale i brata utrzymywała, znalazłszy za to u pewnej

wdowy miłe przyjęcie i mieszkanie.

Już drugi rok młodzi Gajewscy zamieszkali w mieście, wiodąc tamże nie tylko znośne, ale, o ile w sieroctwie podobna, miłe nawet życie. Dobrze było i wygodnie biednemu studentowi przy skrzetnej i zaradnej siostrze. Anusi zaś miło było i bezpiecznie pod opieką kochanego brata, spędzać lata młodego sieroctwa swego

Ale snąc Pan Bóg chciał inaczej. Nie zawsze to, co nam się podoba, zgadza się też z mądrością niedościgłych wyroków Opatrzności jego. Podczas gdy jednemu pozwala Bóg w zaciszu domowym słodko i bezpiecznie pedzić dni żywota ziemskiego, innego jakby gwałtem wyrzywa z pod domowego ogniska i rzuca niejako w daleki świat, aby tam miał sposobność wśród różnych nawałności i pokut wyćwiczyć się w cnocie i postąpić w doskonałości.

## II.

### Szkolne romanse.

Jeszcze na początku naszego stulecia były w Prusiech gdziegdzie kwitnące szkoły jako resztki dawniejszej swobody i dobrobytu z polskich czasów. Tak np. pod Gdańskiem w Szkotlandzie mieli wtedy jeszcze eksjezuici około sześćset uczniów, których wzorowo wychowywali i kształcili na pożytecznych i światłych obywateli. Nieraz młodzież ta podzielona na hufce z różnobarwnymi chorągwiami, wojskowym szykiem wychodziła na przechadzkę. A jaka to tam u tych studentów była wesołość, jaka werwa, jaka pełność życia i swobody, obok należytej karności, pokory i bojaźni Bożej, że aż serca przybywało patrzeć na tę młodzież.

Lecz nie długo to trwało, a skasowano i te resztki i zburzono ostatnie pamiatki z polskich czasów. Po wymarciu ostatnich zakonników

zwinieto do reszty zakony, klasztory a nawet kościoły porozbierano na budowę koszar i fortec; a w całych Prusiech nie było wtedy ani jednej wyższej szkoły, gdzieby się młodzież polska i katolicka kształciła. Marniała wtedy młodzież nasza, nie chcąc uczęszczać do luterskich gimnazjów po dalekich miastach. Nie jeden talent i geniusz wtedy stetryczał gdzieś w borach lub przy plugu, albo zniemczył się lub zlutrzył na obczyźnie.

Dopiero za katolickiego ministra Schmidinga powołano tu z Westfalii katolickiego dyrektora Schmillinga, który najprzód w Brunsberdze założył gimnazjum, a wedle jego zasad i wzoru wkrótce potem, około r. 1815 założono katolickie gimnazjum w Chełmie. Aby zaś zubożałym mieszkańcom okolicy ułatwić posyłanie do niego swych synów, prawie żadnej nie żądano opłaty szkolnego.

To też jakby na uderzenie laski czarodziejskiej sypali się zewsząd z bliska i z dala chłopcy do nowego gimnazjum.

Jaka to tam dorodna młodzież wtedy ze wszystkich stron przybywała na nauki! Bywało nieraz, że chłop pod wąsem zgłaszał się do infimy, czy jak to tam te najniższa klasę przezwanę. Od pluga nawet często przychodzili lebskie już chłopaki, aby w nowej szkole nabrać oglądy, albo jeśli Bóg da, wyjść na księdza.

Ma się rozumieć, że i życie młodzieży tej po gimnazjach było zupełnie inne niżeli teraz. O dzieciuchach do niższych klas chodzących już wcale nie mówię, ale o starszych, jacy teraz do wyższych klas chodzą, a dawniej czestokroć dopiero w tymże wieku do gimnazjum wstępowali. Więcej to wtedy było życia, więcej prawdziwej wesołości i zabawy pomiędzy młodzieżą, a jednakowoż więcej przyzwoitości, bo

więcej otwartości i rozumu a nawet więcej prawdziwej nauki i ukształcenia, lubo mniej ślęczeli nad książką niż teraz.

Wszelako z drugiej strony przyznać wypada, że z przyczyny dojrzałego już wieku szkolnej młodzieży dosyć często zdarzały się wypadki, że starsi studenci, upatrzysz sobie pomiędzy córkami mieszczan panią swego serca, ładajako kończyli swe nauki, albo ich zupełnie zaniechali, aby jak najprędzej się pobrać. Ale w tem jeszcze nie złego nie było a przynajmniej nie tyle, ile w fantastycznych i ladajakich romansach dzisiejszych studentików niedorostków.

— Co się to wczoraj temu Październemu stało, Andziu? Gdym wrócił z lekcji zastałem go u siebie płaczącego jak dziecko. — Temi słowy przywitał Bolesław, wracając ze szkoły, siostrę Andzię, która z uśmiechniętą jak pączek różą twarzą, weszła do jego pokoiku, niosąc naręcz bielizny.

Na pytanie brata natychmiast zmieniła się jej minka, usta się stanowczo ścięły, a cała jej postać, lubo szczupła wzrostem i młodocianych jeszcze kształtów, przybrała nad wielką powagę. Dopiero po chwili namysłu, rzekła spokojnie:

— Tu masz, Bolesiu, resztę twojej bielizny. Zapewne już ci jej więcej prac nie będę. Nie chciałam ci tego dziś jeszcze powiedzieć, aby cię przed czasem nie zasmucać, nim znajdę stosowne dla siebie miejsce. Ale jeżeli już się czegoś dowiedziałeś, to ci wszystko opowiem:

— Gdym wczoraj o tym czasie, nie wiedząc, żeś wyszedł był na miasto, przyniosła ci część bielizny, zastałam tu Październego, który mi powiedział, że zaraz przyjdiesz. Nie domyślając się nic szczególnego, zaczęłam wtedy układać ci bieliznę w kuferek, gdy on przystępuje do mnie, albo raczej pada przy mnie na

kolana i oświadcza, że tylko zemna może być szczęśliwy, że odkąd mnie poznał, już się uczyć nie może i nie będzie, lecz wróci do domu i najpóźniej za dwa lata obejmie gospodarstwo i po mnie przyjedzie, bylebym za nim czekała. To mówiąc chciał mnie w ręce całować, błagając ze łzami, abym mu przyrzekła, że za nim poczekam.

— A to mi przyjaciel — wtracił Bolesław ze śmiechem — teraz ja dopiero wiem, czemu się tak ściśle do mnie przywiązał, czemu mi tyle przychylności okazywał, więc to wszystko dla ciebie tylko; ale to mi jeszcze nie tłumaczy jego łez i słów, które mi wczoraj wyjąkał. Ciekawym, coś ty mu Andziu, na to odpowiedziała.

— Cóż mi miałam odpowiedzieć? — odrzekło dziewczę z suchą na pozór obojętnością. — Tobie się to zdaje śmiesznym braciszku. Ale bodaj by to było tylko żartem. Wtedyby nie zasługiwał ten twój przyjaciel, jedno abyś mu na zawsze drzwi pokazał i na tem by się skończyło. Lecz ja się już dawno czegoś domyślałam, kiedy swem modrem okiem na mnie czasem spoglądał, czy to mnie przypadkiem u ciebie tu zobaczył, czy na ulicy, czy nawet w kościele, aż tu wczoraj jawnie już wypowiedział, czegom się obawiała.

— Ale czegoż się tu obawiać, siostryczko. Zapewnięś go wyśmiała i do książki napędziła. Jeżeli się teraz przekona, że o niego nie dbasz, to się uspokoi.

— Nie znasz ludzi, ani twego przyjaciela. Wiem dobrze, że dopóki ja tu jestem, niczem dlań wszystkie nauki, bo ciągle tylko o mnie myśli, jak sam powiedział i dostatecznie okazał przez swoje mierne postępy w naukach.

— A skąd ty wiesz o jego naukowych postępkach?

— Nie mam wiedzieć, kiedy to już chłop pod wasem i zapewne już

we dwudziestkach a dopiero w sekundzie siedzi.

— Słusznie, dwadzieścia trzy lat niedawno ukończył, a prawdę mówiąc, nie ma nawet widoków na promocję do wyższej klasy..

— Jakże się czegoś ma nauczyć, kiedy mu żeniaczka w głowie?

— Stąd też pochodzi, że od roku prawie ciągle odbiera nagany od profesorów.

— Nie tylko to, ale i matka nad nim ubolewa, gdyż miała nadzieję, że jej Mateuszek zostanie księdzem, bo go dzieckiem jeszcze na służbę Bogu ofiarowała, a tu już mu się duch stłukł i ochota odeszła.

— Aleć temu wszystkiemu przecież ty Andziu, nie jesteś winna i dla tego nie potrzebujesz odjeżdżać.

— Nie poczuwam się ani do żadnej winy, ani do żadnego obowiązku względem niego. Ale obawiam się łez matki jego, dla którychbym zamiast szczęścia, przekleństwo nieba na się sprowadziła. Przeto nie cofnę mego postanowienia i odejde — odparło dziewczę stanowczym głosem.

Widząc, że namowa zamiaru siostry nie odmieni, odwołał się wtedy biedny student do jej uczucia:

— Pamiętaj, — rzekł — że skoro odjedziesz, pozostawisz mnie samego bez pomocy, a sam się tu lekcjami nie używie.

— Niech się dzieje co chce, ja tu dłużej pozostać nie mogę. Nie chce bowiem, aby Październy dla mnie miał chybić powołaniu, na które go matka Bogu ofiarowała; a Bóg znać ofiarę przyjął, kiedy niemowlę już konające, jak mi sama powiadała, do życia przywrócił. Nie! zostając tu, obawiałabym się sprzeciwić samemu Bogu, który go sobie na kapłana powołał. Sądzę zaś, że Bóg mi dopomoże, jeszcze lepsze, niż tu, gdzieindziej znaleźć utrzymanie nie tylko dla siebie, ale i dla ciebie, braciszku.

To mówiac ze łzami w oczach, szlachetne i bogobojne dziewczę prędko wyszło z pokoiku brata do siebie, aby obmyślić i przygotować wszystko, czego potrzeba do podróży.

Smutno zaś i nie bez obawy przychodziło jej, wybierać się w świat szeroki, na którym oprócz brata nikogo nie miała, któryby ją przytulił w tęsknocie i wspomógł w potrzebie. Miała ona jeszcze babkę, która była niegdyś ksienia benedyktynek w Bysławku, jeszcze matkę jej wychowała i przed kilku latami ją sama na niejaki czas u siebie przetrzymywała.

— Ale — pomyślało sobie dziewczę, wracając do swej izdebki — czy jeszcze babka żyje? czyby mnie teraz już dorosła mogła w klasztorze zatrzymać, który już na wymarcie jest skazany? a gdyby mogła, czybym tam była szczęśliwą pomiędzy zakonnicami już sędziwemi sama jedna młoda dziewczyna? Kocham Boga, rada się modle, chcę być cnotliwą, nie pragnę rozkoszy światowych, ale na całe życie, na zawsze zamknąć się w tych zimnych murach, ciągle tylko się modlić i tęsknić do swoich bez nadziei powrotu, a na około świat Boży tak piękny i przestronny, nie — nie tego nie mogę, bo nie czuję do życia tego samotnego powołania. Nie! wolałabym pracować w pocie czoła, wołałabym znowu paść gaski w wiosce, gdzie się urodziła i patrzeć na te łąki i lasy, lasy i na chałupkę, w której mnie matka wychowała.

Na wspomnienie matki i rodzinnej wioski, łzy się Andzi z oczu rzuciły. Bo nigdy jeszcze tak, jak w obecnej chwili nie uczuła sieroctwa swego i niewymowna tęsknota ją ogarnęła.

Do reszty więc złamana żalem, padła na kolana przy łóżku swoim, tuląc twarz swą w pościeli, aby w

przyległym mieszkaniu nie było slychać głośnego jej szlochania.

Nie długo przecież pozostawała w tem położeniu. Jakby się wstydzac słabości serca niewieściego, wnet się podniosła, łzy otarła i machinalnie zabrała się do zwykłej swej pracy.

Atoli próżne były jej usiłowania, aby utracony spokój odzyskać. Wnet powrócił kłopot o dalsze życie.

— Choćbym gdzie służbę przyjęła, umiem szyć i prasować, na gospodarstwie znam się też potrosze. Ale jak i gdzie znaleźć miejsce, nikogo w świecie nie mając i z nikąd nie mając rady ni pomocy.

To znowu przyszedł jej na myśl próśby i łzy Październego, który lubo jeszcze młody, przecież stateczny i prostoduszny widocznie bez wątpienia szczerze ją pokochał i na serjo się o jej rękę starał, aby ją sobie za wczasu pozyskać i zapewnić! Żal jej tedy było młodzieńca, że go tak krótko odprawiła, nie zważając wcale na szczere jego uczucia.

Lecz sama dotąd żadnej ku niemu nie czuła przychylności, chyba przyjazne jakieś usposobienie wskutek bliższej zażyłości dla czestszego widywania się z nim u brata. O serdecznem zaś ku niemu przywiązaniu lub widokach bliższego z nim skojarzenia ani nawet nie pomyślała. Owszem odkąd się od matki jego dowiedziała o jej ślubie i ofiarowaniu go na księdza, mimowoli ja-koś go unikała.

Dopiero, kiedy Październy jej się oświadczył, nieznanne dotąd uczucie czy próżności że się stała przedmiotem jego miłości, czy ziemskiej nadziei, że od razu może być swój na przyszłość sobie zabezpieczyć, czy też uczucie wzajemnej miłości, zaczęło niepokoić jej serce.

W pierwszej chwili sama nie wiedząc, co się z nią dzieje i nie mogąc sobie zdać sprawy z różnorodnych



uczuć, jakie wtedy sercem jej miały, a przywykła w każdym położeniu i zaiściu pestepowanie swoje bojaźnią Bożą i wrodzona sobie szlachetnością kierować, odparła Anna zwycięsko wszelkie pokusy wzajemności.

Gdy się przecież na dobre już do podróży zabierała, aby nie wiedzieć gdzie w szerokim świecie szukać utrzymania, podczas gdy się jej tu szczęście i dobrobyt uśmiechały, zaczęła się lękać i bliżej rozważać swe postępowanie.

— Czy jestem istotnie zobowiązana — pytała sama siebie — opuścić brata, porzucić pewne tu stanowisko i udać się w świat, szukać chleba dla tego jedynie, że chłopiec z własnej nieroztropności dla mnie chybia celu? Wszak brat słusznie powiedział, że ja temu nie winna. Ale czy tu będę spokojną? Nie przestanę on mnie prosić i nagabywać i gotów mnie przekonać, że z nim będę szczęśliwa. A w świecie, dokąd się udam, czy tam szczęśliwa będę, może tam niedza mnie czeka i tułactwo?

Na tę myśl mężne jej serca znowu mdleć zaczynało, i biedna sierota nie mając, kogoby się poradziła, padła na kolana przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela i ze łzami zaczęła się modlić:

— O Boże, Najdobrotliwszy Opatrunie wdów i sierót, wejrzyj łaskawem okiem Opatrzności twojej na mnie ubogą sierotę, nie mającą znikąd rady i pomocy, wybac mi chwiejność moją, poradź mi w mojej wątpliwości, co mam czynić, chce jedynie to czynić, co się Tobie podobą, prowadź mnie i dodaj pomocy, abym sobie wedle woli Twojej najświętszej postąpiła.

Po tej modlitwie, biedne serce sieroty jakby nauczone przykładem Zbawiciela, pełniącego aż do śmierci wolę Ojca nieskiego, uspokoiło się, jakby na rozkaz Jego, uciszający bu-

rze i bałwany morskie od razu, a w duszy jej nastąpiła cisza. Wtedy w głębi duszy, jakby w zwierciadle jakim, cnotliwa dziewica zobaczyła, czy odczuła na nowo szlachetne oblicze swej matki, mile się do niej uśmiechające, jakiego dotąd nigdy nie straciła z oczu — i przypomniało jej się w tej chwili, jak jeszcze będąc dzieckiem po śmierci ojca nie raz widziała matkę swą zapłakaną, dla niedoli i niedostatku, a nawet głodu i nędzy. Mianowicie zaś owo szczególne zdarzenie z owych lat przyszło na myśl, kiedy to nieboszczka jej matka, nie miała już nic w domu, jak tylko cokolwiek maki na zacierki a nawet nie miała czem okrasić, ze łzami w oczach za ostatni grosik posłała małą Anusię do kupca po łożową świeczkę, którą mogła strawę jako tako przyprawić; a mała Andzia pakiecik różnej żywności znalazła na drodze. Przypomniało jej się też, jak innym razem posłana o pożyczanie chleba, którego nie było za co kupić, goniąc myszkę, talara znalazła. Choć drobne były to zdarzenia, często przecież nieboszczka matka o nich wspominała na dowód, że Opatrzność Boska nad nami czuwa i nikogo nie opuści, ktokolwiek ufność swoją w niej położy.

Wszystko to wtedy właśnie podczas modlitwy od razu, jakby w obrazie przesunęło się biednej Andzi przed oczyma duszy, i zdawało jej się, jakoby słyszała głos wewnętrzny mówiący:

„Idź tylko, szukaj, a znajdziesz w świecie zawód wedle Boskiej woli.“

### III.

#### Ucieczka.

Nazajutrz po owej walce duchowej, nie było już Anusi w Chełmnie.

Idąc rano z kościoła, gdzie codziennie bywała na mszy św., spotykała ona na rynku znajomą sobie

przekupkę, która obieżdzając okoliczne folwarki, przywoziła z nich mleczywo, warzywo i różne owoce w targowy dzień na sprzedaż do miasta.

Poczciwa ta kobiecina, siedząc na wozie, opalona od słońca, mała i rosochata, jak banie, obok niej napiętrzona, już zdąła widząc pannę Andzię, serdecznie się do niej uśmiechała.

— Dzień dobry panience — zawołała wnet do zbliżającej się Andzi. — To mi się podoba, że panienka tak rano zawsze wstaje, bo inne miejskie damy śnać jeszcze wszystkie śpią, żadna się tu jeszcze nie pokazała.

Musiałem dziś raniej wstać, niż zwykle, bo ksiądz proboszcz, wybierając się w drogę, raniej zapowiedział mszą św.

— Adyż ja wiem, że panienka zawsze rano wstaje, szkoda tylko, że taka delikatna i mała, bo dobra by z niej była gospodyni, kiedy taka pobożna i rychła do wstania.

— Moja kobietko, muszę ja dużo pracować i wytrzymać, aby się wyżywić, a przecież widzicie, że zawsze jestem zdrowa, zresztą wyście nie większa odemnie a jednakowoż dobra z was gospodyni — odparła Andzia z uśmiechem.

— Ha! ha! ha! — rozśmiała się na głos przekupka tak, że cała się trzęsła na słomianem siedlisku, a ręce na przodzie złożone do góry podskakiwały. — To prawda. Ja też wcale bez urazy panienki chciałam tylko powiedzieć, że radabym ja na szafarkę poleciała pewnej pani na wielkim folwarku.

— Kobietko! — wykrzyknęła Andzie skwapliwie i z radością — to chyba sam Pan Bóg myśl tę wam podał do głowy: ja właśnie szukam jakiegobądź miejsca i chętnie pójde czy to za pokojówkę, czy za szafarkę, a choćby nawet za kucharkę.

— Właśnie mi owa pani mówiła,

aby jej trzy osoby nastreczyć w służbę. Ale jabym panience życzyła przyjść do niej za szafarkę: gdyby tylko panienka mocniejsza była.

— Już ja podolałam, moja kobietko, jeżeli mi Pan Bóg da zdrowie, że będzie ze mnie zadowolona.

— No to tedy najlepiej, żeby panienka zaraz dziś się ze mną zabrała. W południe wracam do domu, a z tamtąd już tylko ćwierć milki do onego folwarku, to się łatwo tam panienka dostanie.

— Dobrze, kochana kobietko, zaczekajcie tylko aż się z bratem rozmówię — rzekła ucieszona sierota i co tchu pobiegła do domu, aby się pożegnać z bratem i z domownikami, z którymi kilka lat już w dobrej przyjaźni przeżyła.

Wszyscy się nie pomału zdziwili jej nagłym wyjazdem. Anna przecież swój pośpiech wytłumaczała tem, że jej niespodzianie nader korzystne miejsce się nadarzyło, któregoby nierada dla zwłoki utracić.

Po południu tedy od wszystkich znajomych żalowana i sama nie bez żalu, ale pełna dobrej otuchy wyruszyła z owa kobiecina z miasta.

W drodze nie przestawała Andzia Panu Bogu w sercu dziękować, za to, że ją tak przedko wyrwał z kłopotu i dobrem miejscem opatrzył. Dopiero dalej już po za borem jakaś nieopisana tęskność ją ogarnęła i wycisnęła jej z oczu parę czystych jak krople rosy łez, aż dotąd siłą nieugiętej woli wstrzymywanych.

Atoli wnet zabawną rozmowa poczciwej przekupki a jeszcze bardziej pięknym widokiem różnobarwnych pól, łąk i gajów rozjaśniło się zasmucone oblicze sieroty i znowu, jak pączek róży, pokraśniało rumieńcem, jakby usiłując wyrównać pięknnością otaczającej ją przyrodzie.

Wielce też rozmiłowana była Andzia w piękności przyrody, w której zawsze już od dziecięcych lat

upatrywała obraz piękności stwórcy Najwyższego. Wedle opowiadania swej nieboszczki matki, podobno już w trzecim roczku na widok kwiatków na polu, klaskała w małe dłonie powtarzając ciągle jakoby śpiewnym tonem hymnu: Bozia! Bozia! Bozia!

Nie dziw tedy, że zarazem z wiekiem dojrzewało w niej szlachetne to pojmowanie i wyższej piękności i przeznaczenia przyrody, co też zapewne obok gruntownej pobożności było przyczyną, że serce biednej opuszczonej sieroty pozostało obce złudnym powabom ziemskich rozkoszy i nietknięte żadną niską namietnością.

Po godzinie prędkiej jazdy stanęli pośród lasu w gościńcu, gdzie przekupka różne sprawunki załatwiała.

Anna tymczasem rozglądała się w pięknym otoczeniu domu zajezdznego schludnie urządzonego i ogrodzonego białymi sztachetkami, po za któremi i najrozmaitsze kwiatki, w piękne kobierce złożone, wabiły do siebie nie tylko piękne motylki, ale i modre oczy rozmilowanej w kwiatkach Anusi.

Nagle rozległ się po lesie odgłos trąbki pocztowej i niebawem ukazał się wóz pocztowy, z którego wyskoczył zwinnie kształtny młodzieniec z przewieszoną przez ramię gitarą, a po nim ukazała się jakaś bogato i strojnie ubrana dama, już nie zupełnie młoda, ale widocznie bielidło i róż dodawały jej świeżości.

— „Reich mir die Hand mein Leben und komme auf mein Schloss mit mir“ — zaśpiewał pięknym tenorem młodzian, giestem i głosem naśladując aktora, który nie dawno te słowa na scenie w Chełmnie był wygłosił.

„Podaj mi rękę moje życie i pójdz ze mna do zamku“. Uradowana dowcipem i pochlebny zastosowaniem poetycznych słów tych do siebie, obca dama podała młodzieńcowi rękę śmiejąc się i umyślnie jak-

by pokazując dwa rzędy drobnych, białych ząbków.

Młodzieniec zręcznie ją wtedy wysadziwszy z powozu, podał jej ramię i zwrócił się z nią ku zajezdnemu domowi.

Teraz dopiero Anusia, która przy sztachetkach stojąc, z dala się wyśiadającym gościom przyglądała, miała sposobność ujrzeć twarz młodziana, aż dotąd w drugą stronę zwróconą. Jakież wtedy było jej zdziwienie, gdy w dorodnym młodzieńcu poznała Konrada, syna sędziego Heindrichsa z tegoż miasta, w którym dotąd z bratem przebywała.

Był to chłopiec pełen talentu, a jak się mówi, dobrego serca. Ale ponieważ matka przedwcześnie go odumarała, przeto w latach dziecięcych całymi dniami sam sobie bez dozoru pozostawiony, mało pracując, a ciągle prawie z lekkomyślnymi towarzyszami się bawiąc, sam stał się lekkomyślnym.

Nadto ojciec, innowierca, mało dbał o religijne wychowanie chłopca, owszem wszystkim jego wybrykom i zachciankom dogadzał, a nawet jego niegodziwościom pobłażał.

Owoż tedy Konrad wyrósł wprawdzie na pięknego młodziana, ale też na niedewarzonego trzpiota, próżniaka i bałamuta. Nie wiele się też nauczył, chyba w muzyce celował. Umiał bowiem niezgorzej grać na kilku instrumentach, a najlepiej na gitarze, która wtedy właśnie była w modzie.

Każdy prawie wówczas chłopiec lub panienka, jako tako wykształceni, śpiewając piosnki, na gitarze przybrdakiwali.

Konrad od młodości przez prawdziwych mistrzów muzyki kształcony, a nadto szczególnym talentem muzycznym obdarzony, takiej nabrał wprawy w graniu na gitarze, iż większe nawet sztuki z łatwością i po mistrzowsku na niej wygrywał.

Miał przepyszna gitarę, rybią kością i prawdziwemi perłami wykładaną; szyjka jej u góry była w srebro oprawna, a śruby srebrne ze sztuczną mechaniką, grubo pozłacane i ozdobne drogiemi kamieniami. Przytem młody ten wirtuoz prześlizcznym śpiewał tenorem, tak, iż w kółkach towarzyskich mieszczan, jako też w spółuczniów nader mile był widziany i chętnie przebywał, rozweselałając wszystkich pięknym śpiewem, wyborną muzyką i nader miłym obejściem.

Nie tylko bowiem wspaniała jego postać i świeżość oblicza, jakby słońca promieniami otoczonego długim kędzierzawym jasnym włosem, ale też grzeczność i dowcip jego wszystkich mu jednały serca.

Jakoż dopóki Konrad uczeszczał na gimnazjum nieraz bywał u brata Andzi, Bolesława, który go rad widział u siebie dla miłej rozrywki w wolnych chwilach i dla nauki w muzyce. Konrad zaś przy tej sposobności uczył się polskiego języka, którym już nie źle władał, i niektóre piosnki śpiewał.

Stad poszło, że Andzia, obok brata mając swój pokój, poznała była Konrada, a sama umiejąc pięknie śpiewać i wielce lubiąc muzykę, rada się jego wesołym piosnkom przysłuchiwała i niejednej się nawet od niego nauczyła. Żadnej przecież bliższej nie było pomiędzy nimi przyjaźni. Konrad wprawdzie częściej wtedy widywał Anusię, a nawet dla piękności jej a jeszcze bardziej dla skromnego i delikatnego wzięcia i ułożenia poważał tak, iż w obec niej nawet wrodzona sobie żywość i lekkość powściągał. Owszem wiedząc, że się Andzia w pobliżu znajduje, umyślnie nieraz, bawiąc u jej brata, wyszukiwał poważniejsze pieśni lub sztuki, grając na gitarze. Lecz na tem się skończyło, gdyż lekkie jego i żywe usposobienie nawet w innych kółkach szukało sobie

rozrywki i przedmiotu zamilowania. Zresztą rok temu już było jak opuścił gimnazjum i odtąd nie bywał już u młodych Gajewskich.

Ale widząc teraz Andzię w tem samym jeszcze skromnem ubraniu, jak przed rokiem u brata stojąca przed domem zajezdnym, swobodnie i z zadziwieniem mu się zdała przyglądająca, poznał ją natychmiast i w pierwszej chwili tak się zmieszał, iż mimowoli się zatrzymał i byłby nieomal opuścił ramie swej bogdanki, dumnie i zalotnie w parze z nim idącej. Rychło się przecież spostrzegł i zbliżywszy się ku domowi, lekko się tylko, jakby od niechcienia uklonił, na co ona także lekkim ukłonem swej główki odpowiedziała, nie mogąc wyjść z zadziwienia.

Towarzystwa Konrada bowiem zalotnie na wszystkie strony strzelając oczyma, przechodząc mimo Anusi, wyglądającej w obec niej prawie jak kwiatek polnej róży w obec tulipana, pogardliwym wzrokiem ją przeszyla, a potem głośnie, nieprzyzwoitym wybuchał śmiechem, przestępując próg gościńca.

Nie weszła już Anusia do pokoju. Uczuła bowiem biedna sierota, że to jej ten śmiech tyczył. Poznała ona wprawdzie, że tak rubaszne zachowanie się nie powinno właściwie jej urazić. Czowała bowiem dobrze swą wyższość moralną nad tą, która w tak oczywisty sposób nie tylko skromności niewieściej, ale nawet zwykłym prawom przyzwoitości uwłaczała. Wszelako nie mogła się biedna przezwyciężyć, aby wniknąć w towarzystwo osób, które jej unikają, albo może by nawet gotowe były ją znieważać. Nadto poznała, iż Konrad bądź co bądź niewłaściwa sobie obrał towarzystwo. Pozostała więc na dworze, przyglądając się kwiatkom i w sercu żalując dobrodusznego młodzieńca, iż tak nie-szczęśliwy uczynił wybór.

W pokoju tymczasem zrobiło się

gwarno. Podróżni przybywający i mający odjeżdżać rozgościli się w nim na dobre. Wnet całe kłęby dymu cygarowego ulatywały przez otwarte okno, a po jakimś czasie dało się słyszeć brzdąkanie na gitarze, aż w końcu pięknym akordem ozwały się wszystkie struny. Uciszyli się goście, a niebawem słyszeć się dał piękny tenor Konrada i wtórujący mu głos gitary. Tym razem jakoś poważnie śpiewak był nastrojony, bo zaczął śpiewać ulubioną pieśń Anusi, która w polskim przekładzie podajemy dla tego, ponieważ treść jej właśnie główną jest osnową naszej powieści.

Niedościgte Boże, są Twe drogi,  
Niezbadany Twych wyroków głos;  
Dziwnych rządów człek Twych nie pojmuje,  
Jak sprawujesz słuszny wszystkim los:  
Ani mędrzec w nocie doskonały,  
Nie przeniknie Twych tajemników mgły,  
Wszystko co się w koło niego dzieje,  
Pozostanie mu zagadką wzdy.

Często zdrójca w szczęściu tu opływa,  
Bogobojnych oczy pełne łez,  
Ach to boli, z serca się wyrwa  
Zapytanie: Boże przecz tak chcesz?  
Zasłużony widzi, jak próżniacy  
Wyzyskują pracy jego trud;  
Cnota w liche tuli się łachmany,  
A w jedwabie stroi zbrodni brud.

Tu niewinny cierpi we więzieniu,  
Tam występki posiadał złoty tron. —  
Opłakuje matka jedynaka  
Swej nadziei tu przedwczesny zgon,  
Tam zaś marnotrawny syn zatruwa  
Sędziwemu Ojcu resztę dni;  
Już miał umrzeć, znowu zdrów powstaje  
Srogi tyran, brodzić w ludzkiej krwi.

Przepuść Ojczy, iż my grzeszni ludzie  
Twey mądrości nie pojmujemy dróg,  
Krótkim wzrokiem minując Twoje rządy,  
Nie sięgamy po za światła próg.  
Tam się oczy kiedyś nam otworzą,  
W świetle twej mądrości ujrzym świat,  
Wtedy wdzięczny hymn Ci zanucimy:  
Sprawiedliwych rządów Twoich ład.

Oczywiście myśli Konrada były przy Andzi albo przynajmniej u jej brata w Chełmnie, gdzie najczęściej tę właśnie jej ulubioną piosnkę śpiewał.

Andzia też zapominając o pogardliwym spojrzeniu obcej damy, cała duszą zatopiła się w melodii i w słowach pieśni, nie wiedząc wcale, jak stosowne właśnie do obecnego jej położenia myśli w drugiej mianowicie zwrotce są zawarte.

Nagle ucichł śpiew w pokoju, i niebawem, czy to z wrodzonej sobie lekkomyślności, czy może ku rozweseleniu swej towarzyszkii, niechętnie zapewne poważnego śpiewu słuchającej, zaczął Konrad zupełnie innego rodzaju skoczna i zabawna piosnkę i to po polsku:

Chociaż łokieć mam wydarty,  
Jednak się tem nie frasuję;  
Palę fajkę i gram w karty,  
Szczęśliwszym, niż król się czuję.

Wszyscy goście po tej zwrotce głośno się rozśmiali, czy to z łamanej polszczyzny śpiewaka, czy z zabawnej melodii piosnki, wręcz przeciwnie jak przeszła słuchaczy usposabiającej.

Tylko Anusia jeszcze bardziej spoważniała, zniechęcona nagłym zwrotem myśli i uczuć od szlachetniejszej poezji do błazeńskiej fantówki. Odeszła więc dalej od okna, mówiąc sobie z cicha:

— Trzpiot był i trzpiotem pozostał. Szkoda chłopca, bo w gruncie ma dobre serce.

Niebawem też nadeszła kobiecina, która ją była przywiozła, a teraz po załatwieniu sprawunków zabierała się w drogę do domu.

— Niech panienka wsiada, zaraz pojedziemy do domu — rzekła przekupka, skwapliwie idąc, a raczej tocząc się do wózka, tak, że Andzia ledwo za nią podażyc mogła.

Po chwili już wózek turkotał na szosie, unesząc ze sobą zadumaną Andzie w nieznanym strony.

— Czemu panienka taka smutna? — zapytała niezadługo przekupka, przerywając milczenie — może tęskni za bratem, a może ją te śpiewki owego paucza rozczuliły. Nie

warto o tem myśleć, panienko. Wio! wio! koniku wio!

— Mało mnie ten panicz obchodzi — odparło spokojnie dziewczę — znam go wprawdzie, gdyż razem z bratem uczęszczał do gimnazjum, ale już dawno temu, jak go nie widziałem; zastanawiam się tylko, co się z niego stało, dokąd jedzie; czy to może jego żona, ta bogata pani, z którą przyjechał?

— A to panienka jeszcze nic nie wie, co sobie dziś całe miasto rozpowiadało?

— Nigdzie nie wychodzę, kobietko, jak tylko do kościoła lub do mojej pani gosposi, w której domu mieszkałam, późno więc nowiny miejskie do mnie dochodzą.

— Szczególna też to z panienki osoba i bez urazy mówiac, dobraby była na zakonnicę. Wio! wio!

— Jeśli Boska wola, to nią zostanę, tymczasem, jak wiecie, chcę zostać szafarką, żeby tylko jak najprędzej do tego folwarku przyjechać, abym jeszcze przed wieczorem mogła się owej pani przedstawić.

— Niech się panienka nie obraża, ja tylko żartuję, a ciesze się, że tak dobrą będę mogła nastreczyć gosposię, która umie domu pilnować. Zaraz będziemy na miejscu: panienko, to się wszystko znajdzie, a tymczasem opowiem panience o tym awanturniku.

— Otóż podobno okradł on ojca i poszedł w świat za ową damą, którą to paniąka za żonę jego uważała. Jest to po prostu komedjantka z teatru, który nie dawno się sprowadził do Chelma, a widząc go częściej w teatrze tak długo mu przyświecała i pochlebiała, aż się w niej zapatrzył i koniecznie się z nią chce żenić. Ojciec odmawiał, proboszcz odmówił ślubu, boć to podobno katolik, a ona niewiedzieć jakiej wiary; ale wszystko nic nie pomogło. Wczoraj zginęli oboje z miasta i nie-

wiedzieć dokąd pojechali ze ślubem, a ojciec podobno znalazł biórko swe ze wszystkich prawie pieniędzy i papierów i kosztowności wypróżnione. Snać sobie więc synek zabrał swój posąg i pojechał w świat ze swoją amantką.

— Dziwno tylko, że jeszcze tak blisko miasta się znajdują i że ich jeszcze nie pochwycono.

— Bo to widzi panieka, stare ojczyisko podobno się wstydzi wyrodnego syna, a nie chcąc sobie jeszcze więcej wstydu robić, wszystko aż dotąd zanilczał, tylko służba jego powoli się wszystkiego domyśliła, widząc starego pana swego z wielkiem zakłopotaniem szukającego czegoś w biurku i dopytującego się o panicza, albo może i sami młodemu dopomogli do wszystkiego a potem na mieście wygadali.

— Ale zdaje się, że chłopiec szczerze myślał, kiedy się starał o ślub w katolickim kościele, a w innym go nie chciał zawierać.

— Nie chciał, bo nie mógł, gdyż podobno i pastor z nichem ich odprawiał, dla ojca, z którym w ścisłej żyje przyjaźni. Wogóle dla tego tylko chodziło paniczowi o ślub, aby dostał majątek, gdyż znając słabość ojca, spodziewał się po skończonej sprawie znowu go udobruchać. Tak wszyscy powiadają, którzy znają lekomyślność syna a ślepa miłość starego.

Tak rozmawiając i opowiadając sobie podróże nasze, przejechały bór, a nie daleko za borem tuż przy drodze było widać karczme, przed którą wnet się wozek zatoczył.

— Prrr! — zawołała z radością kobiecina na konia, a gdy stanął, obracając się do Anusi z filuternym uśmiechem, rzekła: — Otośmy w domu, panienko, jestci to wprawdzie karczma, ale niech się panienka nie hoi; rzadko kto obcy do niej zajężdża, odkad tamten gościniec za borem pobudowano.

Anusia tymczasem już zeskoczyła z wozu, i otrzesając kurzawę z sukni, oglądała siedzibę swej tymczasowej opiekunki.

Dom zajezdny w istocie jeszcze nie był lichy. Owszem rozmiary jego i silna budowa kazały się w nim spodziewać wygody i dużo pomieszczenia. Atoli ściany jego obdrapane a dziedzińiec trawą zarosły i zawalony mierzwą, koniecznie każdego porządneho gościa odstręczał.

W domu tak samo, największy nieład panował a nieochętność oczu i nawet nos przychodnia niemile uderzało.

Już z dala słycać było chrapliwy płacz a raczej krzyk małego dziecka. Jakoż wchodząc do izby mieszkalnej ujrzała Anusia w kolebce zanoszące się od płaczu, puzate dziecko, które karczmarz daremnie usiłował uspokoić.

Anusia już to z wdzięczności dla kobiety, która ją przywiozła, już to z czułości niewieściej, nie mogąc znieść lamentów niemowlęcia, przyskoczyła co prędzej do kołyski, aby je uspokoić, czemu się nieporadny ojciec widocznie ucieszył, bo już przestał na nią z ukosa spoglądać.

Był on daleko starszy od swej zwinnej połowicy, która jak się później Andzia dowiedziała, przed dwoma laty dopiero owdowiała, pojął za żonę. Dawniej za nieboszczki żony jego bardzo dużo podróży do gościńca zajeżdżało, ale za tej, jakby wszystko kto uroczył, mówił, nikt tu nie zajrzy, a jeśli zajedzie to zaraz ucieka

— Nie dziw — pomyślała sobie Andzia — jeżeli zawsze taki porządek, jak dziś, tu panuje.

Najlepszy też dowód swego domysłu miała na dziecku, które strasznie było zaniedbane i najwięcej dla tego tak strasznie krzyczało.

Skoro bowiem skrzętna Anusia z prawdziwą troskliwością macie-

rzyńska dziecic jak należy opatrzyła, przestało ono płakać i mile się uśmiechało, że aż oboje małżonkowie z podziwem na nią jakby na święta patrzeli, przypisując to jakiejś tajemniczej sympatji.

Tymczasem wieczera już była gotowa, a uradowana gosposia zaprosiła Anusię do suto zastawionego stołu, przy którym się dziewczę z równą skrzętnością uwijało jak przy pracy, gdyż od rana prawie nic jeszcze nie jadła, a już się miało ku wieczorowi.

Nie podobna jej było, tegoż dnia jeszcze przedstawić się na folwarku. Przeto zatrzymali ją poczciwi karczmarze na noc u siebie, obiecując ją nazajutrz odesłać. Chętnie na to Anusia przystała, gdyż uzyskała przez to czasu, aby się na pierwsze spotkanie z pania jak najporządniej przyodziać i przyposobić tak, iżby nie chybiła celu.

Wdzieczna też za odebrana od karczmarki pomoc, w stosownej chwili, gdy męża nie było, nadmienila jej delikatnie, że cała przyczynę ich niepowodzenia w tym gościńcu upatruje w tem, że nie dosyć wabi gości, że należy przed domem pięknie zamieść, piaskiem posypać, drzwi i okna liściem unaić, to przejeżdżający każdy rad wstąpi, pobawi i popasie. Wtedy nie będą potrzebowali skąd inąd zarobku szukać, ona mianowicie będzie mogła pilnować domu i dziecka, lepiej dojrzeć, nie jeżdżąc tyle do miasta.

Poczciwa kobiecina przyznając słusność panience, obiecała poprawę, a po krótkiej jeszcze pogadance, zaprowadziła ją do najlepszej izdebki gościnniej na spoczynek.

#### IV.

#### Walne zwycięstwo.

Pani Wojtowicz w R., wcześniej uwiadomiona przez karczmarkę o

przyjeździe i chwalebnych przymiotach panny Anny, nader mile ją przyjęła i chętnie poruciła jej szafarstwo domu swego. Właśnie bowiem potrzebowała osoby, na którejby ze wszystkim bezpiecznie mogła polegać, oddając w jej ręce całe gospodarstwo domowe.

Anusia wprawdzie aż dotąd nigdzie jeszcze samodzielnie gospodarstwem nie zarządzała, lecz przypominając sobie dawniejszą swą służbę u zamożnego włościanina w rodzinnych stronach a nadto ufna w pomoc Boska, odważyła się przyjąć ofiarowane sobie miejsce. Zaraz przecież z górą bez ogródki wyjaśniła pani swą obawę prosiąc, aby miała z nią cierpliwość, ażby się w nowym swym zawodzie nieco wprawiła.

Pani Wojtowiczowej spodobała się otwartość młodej gospośi i tem bezpieczniej oddała jej klucze, pouczając ją z początku o jej obowiązkach. Wkrótce przecież przekonała się, że panna Anna we wielu rzeczach lepiej od niej się znała na gospodarstwie, i nie mogła się dosyć nadziwić, skądby w tak młodym wieku nabrała tyle znajomości. Cała zaś przyczyna tejże tajemnicy była w tem, że Anusia, wrodzona mając skłonność i chęć do gospodarstwa, od lat dziecięcych już zawsze i wszędzie pilnie uważała na wszystko, coby jej się kiedyś mogło przydać, czy to do znajomości kuchni, czy gospodarstwa wogóle.

Niezadługo więc pozostawiła jej pani samodzielny zarząd nad całym domem, sama będąc ustawicznie cierpiącą i co chwila niedomagając na zdrowiu.

Pani Wojtowicz nie była jeszcze tak stara, jak zwiedle i zmarszczkami pokryte oblicze świadczyć się zdawało. Owszem przed kilkunastu jeszcze latami była ona młodem rozkwitającym prawie dziewczę-

ciem a pięknoscią swoją wszystkich zachwyciła. Dla tej to właśnie nadzwyczajnej piękności swej, choć uboga i niskiego pochodzenia stała się żoną najbogatszego w okolicy pana.

Pochodziła ona z niedalekiej wioski tuż za granicą Królestwa południowej, Rodzice jej, ubodzy wyrobnicy, nie mogli jej dać ani majątku, ani lepszego wychowania. Wszystko co od nich odziedziczyła była jej osobliwsza piękność. Włos miała ciemny, płeć biała a przytem modre jakby anielskie oczy. Imię jej było Jadwiga. Stąd zapewne nazywano ją piękną królewna.

Wcześniej też odznaczała się ona czułą pobożnością, ugruntowaną na prostej i żywej wierze. Zresztą zwykłym sposobem dzieci wiejskich wzrosła wśród gasek na polu i nie większa prawie nad nie posiadała naukę.

Dziwnem atoli poczuciem piękna, czy też przeczuciem swego przeznaczenia wiedziona, nie wiedzieć skąd, już od lat dziecięcych przybrała jakieś pańskie maniery i obyczaje, z których najwładziejniejszy był ten, iż nawet nie chciała jeść bez nakrycia stołu lub kamienia, na którym w polu obiad jadała.

Tak to ją razu pewnego ujrzał na polu p. Wojtowicz, który będąc wtedy jeszcze choć nie młodym kawalerem, koło jej rodziunej wioski przejeżdżał. Było to właśnie w obiadową porę, gdy mu tamże wśród drogi koło się złamało. Czekaając tedy na naprawę takowego, widział jak tam jakaś młoda wieśniaczka, przedniej urody, nakryła pieńek sosnowy białym fartuchem, a na to dopiero dwojaki postawiła, pomodliła się i jeść zaczęła, chociaż ją matka do pośpiechu nakłaniała, fukając dla „pańskich fochów“. Była to Jadwisia.